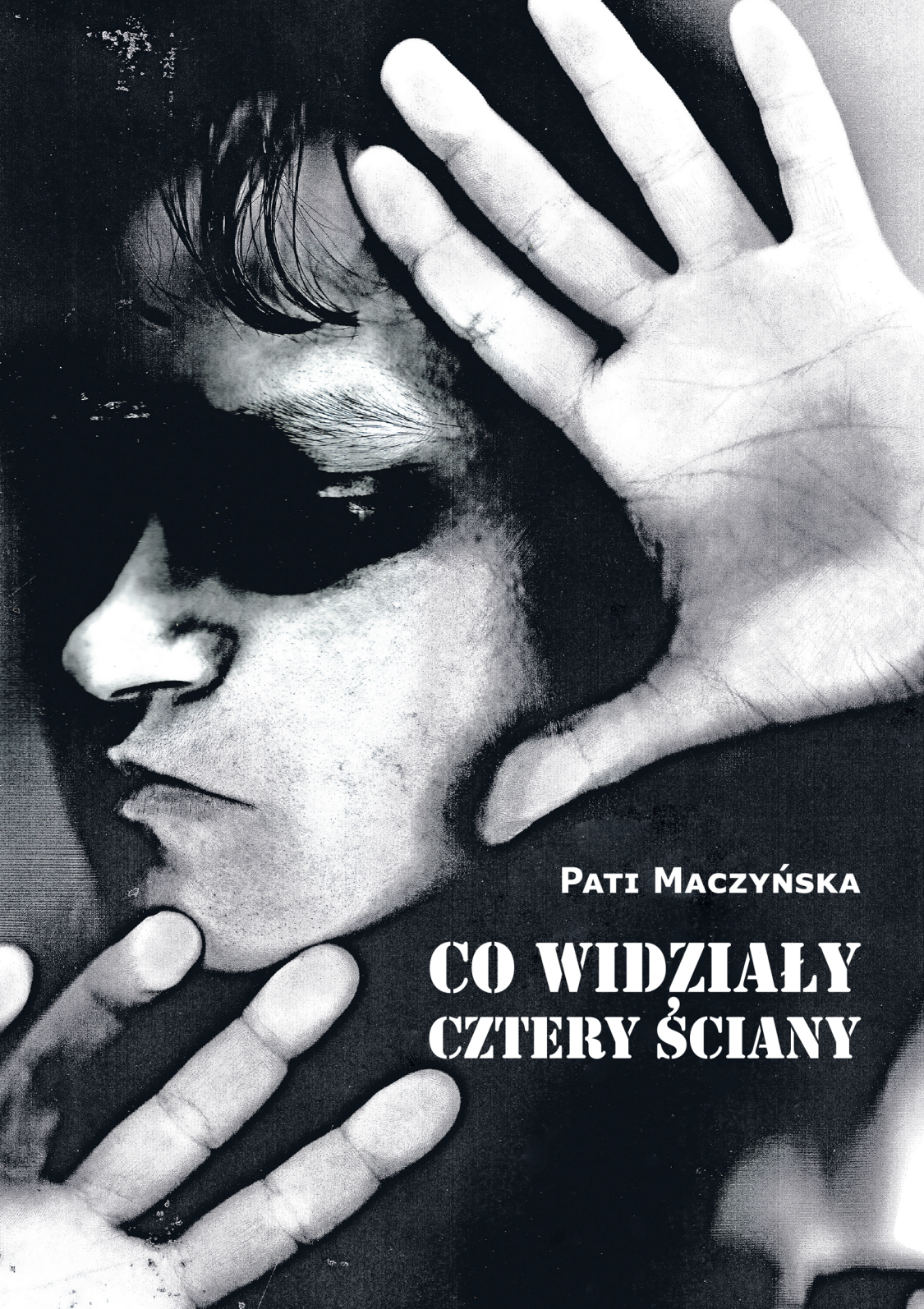




PAT I MACZYŃSKA

**CO WIDZIAŁY
CZTERY ŚCIANY**

Wersja demonstracyjna

PATI MACZYŃSKA

CO WIDZIAŁY CZTERY ŚCIANY



PSYCHOSKOK

Pati Maczyńska
„Co widziały cztery ściany”

Copyright © by Pati Maczyńska, 2021
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana
i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Korekta: „**Dobry Duszek**”, **Robert Olejnik**
Projekt okładki: „**Dobry Duszek**”
Ilustracje na okładce: **Pati Maczyńska**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-8119-742-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Manifest ofiary

Kimże jesteś, by ze mnie szydzić?

Kimże jesteś, by mnie poniżyć?

Kimże jesteś, by mnie krzywdzić?

Kimże jesteś, by mnie zniewalać?

Jesteś moim zbawcą?

Nie! Jesteś oprawcą,

Jesteś senną marą,

Ja – twoją ofiarą.

I choć rany zagojone,

Białe blizny zostawione

Na znak twojej winy –

Kary bez przyczyny.

Do muru przyparta,

Z godności obdarta

Przed twą furią stoję.

Dość! Już się nie boję!

W sercu iskra się zatliła

I nadzieję obudziła.

Wreszcie moja siła

Bat twój odrzuciła;

Przerwała niewoli nić –

Znów spokojnie będę śnić...

„Powieм tak: ślepy o kolorach nie napisze”.

Sztuka Kochania –

Historia Michaliny Wisłockiej

*Mojemu synowi Patrykowi –
Dla Ciebie warto było przejść przez piekło...*

Wstęp

Kiedy rozważałam napisanie tej książki, miałam sporo wątpliwości. Porusza ona pewne tabu związane w naszej kulturze z kultem rodziny. Wiele ostatnio słyszy się o przemocy w rodzinie: pobicia i molestowanie dzieci przez osoby bliskie, zabójstwa małżonków. Przemoc fizyczna, psychiczna i ekonomiczna jest wszechobecna. Kiedy w końcu dochodzi do tragedii, padają pytania o to, jak to możliwe, że nikt niczego nie zauważył, że nikt niczego nie słyszał. Płacz dziecka za ścianą, głucho uderzenia... A sądzę, że to nie jest tak, że ludzie są obojętni. Agresywne zachowania są zgłaszane, ale giną gdzieś pośród wielu podobnych. Służby, które powinny się tym zająć, nie zawsze są dość czujne i wydolne, aby obiektywnie ocenić sytuację, zanim sprawy wymkną się spod kontroli i dojdzie do najgorszego – śmierci. Wtedy do akcji wkraczają media. Zaczyna się polowanie na czarownice. Pada pytanie: „Dlaczego nikt nie reagował?” i okazuje się, że albo dla świata to była przykładna rodzina, albo zgłoszenia były, ale utonęły gdzieś po drodze. Nikt nie chciał wszcząć interwencji.

Historia, którą tu opisuję, choć jest subiektywnym zapisem i oceną zdarzeń, wydarzyła się naprawdę – gdzieś, kiedyś... Imiona bohaterów zostały zmienione, ale myślę, że w najbliższej okolicy każdy rozpozna taką Ankę czy Adama. Może ta opowieść sprawi, że cztery ściany zaczną zdradzać swoje tajemnice i uratują czyjeś życie? A może tylko dodadzą komuś odwagi, aby w porę zakończyć własną gehennę, stanąć na nogi i zacząć od nowa? Mam nadzieję, że tak się stanie. Ten labirynt ze ścian można pokonać. Trzeba do tego tylko determinacji. Nie można się zrażać ślepych zaułkami systemu. Trzeba wierzyć, że się uda. Nagrodą jest wolność i spokój. Warto podjąć ten wysiłek, choćby sytuacja wydawała się

beznadziejna, a my sami – osamotnieni. W końcu nawet na dnie
puszki Pandory była nadzieja...

Piotr Dłuski

Część pierwsza

Cztery ściany

Jest!

– Jeśli chcesz mieć dzieci, kochana, to radzę ci się pośpieszyć z decyzją. W twoim przypadku to może być trudne.

Lekarka myła ręce po badaniu, a Anka pokiwała głową ze smutkiem. Od czterech lat ciągle przesiadywała w gabinecie ginekologicznym. Dwa lata zabiegów. Dwa lata antybiotyków i wapna. Tyłek miała już permanentnie siny, a żyły kruche od zastrzyków.

– PRZEWLEKŁE ZAPALENIE PRZYDATKÓW – usłyszała diagnozę, kiedy miała zaledwie czternaście lat, cztery lata temu.

Anka nie poddała się. Tego dnia poszła do innej lekarki. Poprzednia przeszła już na emeryturę. Miała nadzieję, że tym razem usłyszy coś innego. Macierzyństwo było dla niej priorytetem na drodze samorealizacji. Zawsze chciała mieć dużo dzieci. Teraz okazało się, że może ich nie mieć wcale. Dopiero zaczęła spotykać się z Adamem. Znali się od dwóch lat, ale parę zostali kilka tygodni temu. Czy na pewno chciała mieć dziecko właśnie z nim? Czy już mieli się starać? Miała dopiero osiemnaście lat, nie myślała jednak o niczym innym.

Wróciła do domu. Zaczęła analizować za i przeciw. Miała osiemnaści lat. Ciąża trwa dziewięć miesięcy. Zdążyłaby skończyć liceum, zdać maturę. Potem trzeba by zrobić rok przerwy. No i skończyć coś. Bo jak iść do pracy? Bez zawodu, po ogólniaku, marne szanse na zatrudnienie. Miała zostać położną. Zawsze uwielbiała dzieci. Ironia losu, że mogła nigdy nie zostać matką. Postanowiła, że zaczeka kilka miesięcy i zobaczy, jak rozwinie się związek z Adamem. Niby dobry z niego chłopak – nie palił, nie pił, pracował i zaocznie uczył się w technikum. Mimo to było w nim coś niepokojącego. Dziewczyna nie wiedziała tylko co.

Anka często mu pomagała. Adam był od niej starszy o dwa lata, ale maturę mieli zdawać w tym samym czasie. Przedmiotów

ogólnych mogli więc uczyć się razem. Adam często wykorzystywał wypracowania Anki, a co tam... Zainstalował jej nawet CB-radio, żeby móc do niej „dzwonić”. W zasadzie to nie on, a jego matka tak chciała i to ona najczęściej „dzwoniła” do Anki z nakazem przygotowania jakiejś pracy. Podawała jej temat i termin. Tyle. Nie było ani „proszę”, ani „dziękuję”. Zwykle: „Trzeba to i to, na wtedy i wtedy; tylko musi być co najmniej na trzy plus!”

Przeprowadzone tuż przed maturą dalsze badania ginekologiczne nie były bardziej optymistyczne od poprzednich. Po kolejnej serii zastrzyków Anka i Adam podjęli decyzję o odstawieniu antykoncepcji – co ma być, to będzie.

Mijały miesiące. Oboje zdali maturę. Anka dostała się na położnictwo. Na egzaminie wstępnym miała jeden z najlepszych wyników. Adam dostał niezłą pracę w dopiero co zdobytym zawodzie elektronika. Wszystko jakoś się toczyło.

Dziewczyna skończyła semestr. Było dobrze. Tylko jedna czwórka, a reszta same piątki. Została zwolniona z opłacania czesnego. W dodatku zakwalifikowała się do wojewódzkiego konkursu poezji śpiewanej. W walentynki zaręczyli się. Do szczęścia brakowało tylko dwóch niebieskich kresek. Po feriach umówiła się na badanie kontrolne. Coś trzeba było zacząć działać. Może inne leki?

Termin do lekarza, pomimo prywatnej wizyty, był dosyć odległy. Trzeba było dopasować okres. No i w końcu się udało. Jednak coś było nie tak. W czasie okresu zamiast zwykłego krwotoku pojawiło się niewielkie plamienie. Trwało dwa tygodnie. Anka bała się, że czeka ją kolejna seria bolesnych zastrzyków. Dobrze, że potrafiła już robić je sobie sama – mniej bolało.

W poczekalni siedziała ze zmartwioną miną. Zastanawiała się, co bardziej boli: gentamycyna czy linkocin. Nie pamiętała tego trzeciego...

„Ciekawe, co będzie dziś?” – pomyślała.

Weszła do gabinetu.

Pani doktor badała ją dłużej. Nie bolało. To było dziwne.

– Zrobimy jeszcze USG, dobrze? – zapytała w końcu.

– Jasne. Coś nie tak? Ta moja ostatnia miesiączka... Jakaś dziwna była. Zwykle leje mi się nogawkami, a ostatnio to nawet podpaski mniejsze kupiłam – Anka zawstydziała się.

– No, właśnie myślę, że wszystko jest jak najbardziej OK. Muszę tylko zerknąć – przyłożyła do brzucha sondę.

Jej mina była trudna do oceny. Niby się uśmiechnęła, ale zaraz nieco spoważniała.

– Mam w sumie dobrą wiadomość. Jest pani w ciąży, pani Aniu. Właściwie to są dwa pęcherzyki. Pani zobaczy – pokazała Ance monitor i dwie plamki. – Niestety tutaj nie ma echa serduszka – wskazała na jedno kółeczko. – Za to tutaj jest. Proszę posłuchać. To jakieś 6–7 tygodni. Zaczekamy i zobaczymy. Przepiszę pani leki, żeby to krwawienie się nie powtórzyło i zlecę badania. Widzimy się za miesiąc.

Anka oniemiała. Była w ciąży. Wreszcie! Sześć lat leczenia; prawie dwa lata starań. I udało się. Nie mogła w to uwierzyć. Jednak będzie mamą. Już JEST!

Anka z zachwytem powiedziała Adamowi o wyniku badania. Mężczyzna pobladł.

– Ale jak ja o tym powiem mamie?

– No, przecież jesteśmy zaręczeni. Nie przesadzaj. Przecież chciałeś spróbować... No to się w końcu udało.

Chciałem... Chcę. Tylko co na to mama?

– Nie martw się. Pomyśl o tym, czego ty chcesz. Jesteśmy dorośli. Ja też się martwię, ale jeśli nie teraz, to nigdy. Dobrze, że w ogóle się udało. Skończę semestr, wezmę dziekanę, a po roku wrócę do szkoły. Damy sobie radę.

– To chyba trzeba ślub?

– Jesteśmy zaręczeni, ale plan był taki, że się pobierzemy, jak skończę szkołę. Nie musimy tego zmieniać.

– Ale ja chcę być prawdziwym ojcem dla swojego dziecka.

- Do tego nie trzeba się żenić.
- No, ale ja chcę. Kurczę, będę tatą.
- Już jesteś.
- Tak, już jestem. Wsiadaj do auta. Odwiozę cię do domu.

Jechali kilka minut zamyśleni. Adam skupiony, Anka rozmazana, gdy nagle chłopak przyspieszył agresywnie, wyminął inny samochód i gwałtownie przed nim wyhamował. Nie zatrzymał się jednak.

- Co ty wyrabiasz? Uważaj trochę?
- To ten skurwysyn! Załatwię go! Jak mi wjedzie w dupę, to będzie jego wina. Jeszcze mi będzie musiał za naprawę zapłacić.
- Uspokój się! Zajeżdżałeś mu drogę.
- Bo ten skurwysyn mnie wkurwił!
- Adam raz po raz zajeżdżał mu drogę i wyhamowywał.
- Przestań! Wysadź mnie! Ja nie chcę w tym uczestniczyć.
- Nie teraz. Muszę go załatwić.

Anka się rozpląkała. Była zapięta w pasy, mimo to kilka razy prawie uderzyła głową w szybę. Zrobiło jej się niedobrze. Rozbolał ją brzuch i poczuła, że krwawi.

- Dostyc tego! Wysiadam, już! Zatrzymaj się. Brzuch mnie boli!
- Zakończę to! Dwie pieczenie!

Na szczęście auto za nimi zwolniło i zatrzymało się na poboczu. Jego kierowca chyba się zorientował, że to wymuszanie stłuczki i wołał nie ryzykować. Adam odwiózł narzeczoną do domu. Przez resztę drogi zachowywał się, jakby nic się nie stało. Opowiadał jakiś głupi film, który oglądał poprzedniego wieczora. Pewnie z „mamu-sią”. Udawał albo nie dostrzegał zdenerwowania swojej partnerki. „On jest chyba niezrównoważony” – pomyślała Anka.

Po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała. Nie o siebie. O życie dziecka. Niestety, to był dopiero początek.

Następnego dnia Adam zachowywał się, jakby nigdy nic. Żartował i był w doskonałym humorze. Dziewczyna chciała to wykorzystać. Już dawno nie widziała się ze swoimi przyjaciółmi:

Piotrem, Pawłem i Alą. Od czasów podstawówki spotykali się prawie w każdy weekend. Rozmawiali, grali na gitarach i śpiewali. Rozumieli się bez słów.

Adam ich nie lubił i kombinował, jak tylko mógł, aby unie-
możliwić Ance spotkanie ze znajomymi. Tego dnia miał jednak
dobry nastrój i może by się zgodził pójść z nią? Mogliby razem
przekazać dobrą nowinę.

- Chyba żartujesz?
- Czemu?
- Nigdy nie pójde do tych popaprańców! Wybij to sobie z głowy!
- To moi przyjaciele! Nie mów tak!
- Już niedługo! Niedługo zostaniesz moją żoną, a to zobowiązuje.
- Nie do zerwania przyjaźni.
- To wyrzutki. Nie powinnaś się z nimi zadawać.
- Przecież ich nie znasz. Skąd wiesz?
- Mamusia mi powiedziała. Ona wie, co to za jedni.
- Przestań.
- Jak chcesz, to idź sama.
- Dobra. Jak wolisz. To do później.

Anka nie czekała na reakcję narzeczonego. Odwróciła się i po-
spieszenie odeszła. Spędziła wspaniałe popołudnie ze znajomymi.
Przeprosiła ich za zachowanie Adama. Byli wyrozumiali.

- Anka, ale na pewno wiesz, co robisz? – Piotrek zapytał na
koniec spotkania. – Bo wiesz, on jest zupełnie inny niż ty.
- Wiem. To jego „mamusia”. Ona ma korbę. Ale Adam jest OK.
- Zawahała się – Tak na ogół.
- No nie wiem... Przepraszam. To twoja sprawa. Będzie dobrze.
Gratuluje.
- Dzięki.

Anka prawie nie spała tej nocy. Myślała o słowach Piotra.

Wielkie sprzątanie

Adam zdecydował, że najwyższa pora zrobić porządek na ostatnim piętrze domu rodziców. Był to duży, trzypiętrowy budynek z parterem przerobionym na dwa garaże i warsztat. Pierwsze dwa piętra były w miarę wykończone, trzecie pozostawało w stanie surowym. Przez wiele lat jego pomieszczenia służyły za magazyn rodzinny. Teraz, kiedy dziecko było w drodze, trzeba było pomyśleć o mieszkaniu. Wykończenie tego lokum zdawało się być dobrym pomysłem. Niestety najpierw trzeba było uprzątnąć pomieszczenia z zalegających kartonów. A było ich bardzo dużo.

Tekturowe pudła w kilku rozmiarach walały się dosłownie wszędzie. Wszystkie były fabrycznie pozaklejane. Początkowo Ankę to trochę zdziwiło, ale prawdziwego szoku doznała, kiedy się przekonała, co tak naprawdę skrywały te pakunki. Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła.

Okazało się, że w pudłach było dwanaście czarno-białych telewizorów. Zupełnie nowych, nawet nierozpakowanych. Dwadzieścia kartonów, po dwanaście sztuk każdy, szklanych wkładów do litrowych termosów. Dziesięć paczek skrywało jednakowe kaftaniki niemowlęce. Po dwadzieścia sztuk w każdym pudełku. Ubranka były w tym samym rozmiarze. Kupione hurtem. Ania pamiętała z dzieciństwa ten charakterystyczny wzór w jaskółki. Koszulki były wiązane na karku na zakładkę. Jej lalki dostały jeden taki kaftanik, kiedy już wszystkie dzieciaki na osiedlu z niego wyrosły.

- Ale fajnie, przydadzą się – dziewczyna zwróciła się do Adama.
- Jak to, przydadzą się?
- No, dla dziecka.
- Ale to mamusi!

– Adam, tu jest dwieście sztuk jednakowych kaftaników, rodem z PRL-u.

– No i co z tego?

– Po co wam tyle tego było?

– A... jak były, to się załatwiało. Zawsze można było potem pohandlować tu i tam.

– Widać nie zawsze... Dobra, nieważne. Ale teraz kilka by się przydało. Dla naszego maluszka. Taka sentymentalna podróż w czasie. Teraz już takich nie robią.

– Zapytam mamusię.

Adam zakończył tę rozmowę wyraźnie niepokieszony.

Ostatecznie Anka dostała w prezencie jeden kaftanik w jaskółki. Rozmiar 58. Mamusia miała kilkoro dzieci w rodzinie i dla każdego chciała coś zostawić. Tak więc jedna z dwustu koszulek została przeznaczona dla pierworodnego wnuka.

Gorszy los spotkał telewizory. Czasy dawno się zmieniły. Czarno-białe kineskopy odchodziły w niepamięć. Można by było, co najwyżej, oddać je do muzeum, czy coś w tym rodzaju. Teraz każdy miał już kolorowy odbiornik, a ostatnim krzykiem mody były cienkie plazmy. Bez wielkiego kineskopu. Adam nie zamierzał jednak zwracać sobie głowy wystawami techniki. Miał lepszy plan. Wiezorami wywoził stare-nowe sprzęty na śmietniki. Wyrzucał je z wielkim zadowoleniem. Uwielbiał obserwować, jak uszkodzony kineskop wybucha. Nie chcąc wpakować się w tarapaty, jeździł w różne miejsca, po wielu osiedlach w mieście. Nie do końca był przekonany, czy taka zabawa jest legalna.

Ania nie mogła pojąć, jak to się stało, że te telewizory w ogóle trafiły do domu Adama. Pamiętała z dzieciństwa, jak jej tato „zdobył” maszynę do szycia. Zdobył to lepsze określenie, niż kupić. Zdobył ją „spod lady”, po znajomości. Pomógł sąsiadce coś naprawić, a ta z wdzięczności odłożyła mu jedną maszynę. Pracowała w sklepie AGD. W tamtych czasach wszystko się tak „zdobywało”: sprzęty, ubrania, zabawki... A tu nagle u kogoś w domowym

magazynie stoi sobie dwanaście nowiuśkich telewizorów, które wtedy musiały kosztować majątek. To było dziwne.

O zawartości kilkudziesięciu innych pudeł Ania nie miała okazji się przekonać. „Mamusia”, po tym jak dziewczyna poprosiła o kaftanik, wołała nie ryzykować, bo może pazerna dziewczucha chciałaby dostać coś jeszcze... Nie, lepiej było wszystko wynieść, zanim coś mogłoby się przydać. Tak więc wkłady do termosów i inne tajemnicze pakunki zniknęły w ciągu jednej nocy i Ania nigdy się nie dowiedziała, co się z nimi stało.

To była pierwsza z wielu nocy cudów, jakie Ania miała okazję przeżyć w tej rodzinie.

Wesele

- Nie chcę w ogóle wychodzić za mąż – tłumaczyła Ania.
- Ale ja chcę być prawdziwym ojcem dla naszej córeczki.
- Do tego nie trzeba ślubu.
- Ale tak będzie prościej. Przecież chciałaś...
- Ale nie z powodu ciąży. Możemy poczekać. Zobaczymy, jak będzie.

Takie rozmowy Anka i Adam prowadzili kilka razy w tygodniu. W końcu decyzja zapadła. Ślub cywilny, bez zbędnej pompy. Niestety, „mamusia” chciała zaprosić rodzinę. W końcu to ślub pierwszorzodnego. Miało być wesele i Anka przystała na skromne przyjęcie dla najbliższej rodziny. Najbliższych było prawie osiemdziesiąt osób. Mniej więcej po równo z obu rodzin. Pół na pół.

Adam uparł się, żeby zaprosić również Agatę. Była to koleżanka Anki ze studium. Adam uwielbiał bawić się z jej córeczkami. Dziewczynie nie układało się w małżeństwie. Mąż ciągle w rozjazdach (pracował za granicą), a ona sama z dwójką małych dzieci. Adam ciągle napierał na odwiedzanie jej. W sumie to była jedyna znajoma Anki, którą tolerował i pozwalał na utrzymywanie z nią kontaktów. Resztę przyjaciół dziewczyny uważał za osoby niegodnie jego szanownego towarzystwa.

– Agatę zaprosz koniecznie! Będzie miał cię kto uczesać i umalować do ślubu.

– Adam, mieli być tylko najbliżsi. Mam bliższe przyjaciółki, których nie pozwalasz mi zaprosić.

– Ale Agata zrobi za kosmetyczkę i fryzjerkę, inne nie. One tylko przyjdą się nażreć za darmo.

– Nie mów tak!

To były kolejne rozmowy. Anka nie miała jednak ochoty się kłócić. Agata została zaproszona – niech będzie!

Nadszedł dzień wesela. Pani urzędniczka orzekła, że są mężem i żoną. Życzenia, gratulacje... Nadszedł czas na przyjęcie.

Menu wybrała „mamusia”. Przecież ona wiedziała doskonale, co najlepsze, bo niby Anka w ciąży to miała dziwaczne smaki i nie powinna decydować, co goście będą jeść. No, a jej rodzice? Jej rodzice to nie byli tutejsi. Nie wiedzieli, z czego słynie ta knajpa. „Mamusia” wiedziała. Wszystko już zostało ustalone. A, niech będzie...

Goście jakoś się bawili, nawet całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. Rodzice Anki oczywiście częstowali wszystkim całą obsługę, zwłaszcza, że kierowniczką lokalu to była znajoma ojca Ani i sąsiadka jednej z jej ciotek – przemiła kobieta. Jedzenie wysmienite – wszystko naprawdę świeżutkie i pięknie podane.

Goście dopisali. Tylko babcia Adama nie przyszła i jego ciotka, siostra „mamusi”. Nie chciała małego synka ciągnąć do ludzi, bo zarazki. Babcia z nią została. „Mamusia” wzięła ze sobą menażkę, poszła na zaplecze, bo przecież porcje dla nich trzeba było zabrać do domu – należało się.

– A obsługa to dlaczego je? Jak to?

– No, normalnie! – ojciec Anki zwrócił się do swatowej, po czym odwrócił się i dodał: – Proszę jeszcze wypić zdrowie młodych! – uśmiechnął się do zawstydzonego kelnera i podał mu dwie butelki wódki weselnej.

Oj, nie podobało się to „mamusi”, ale jakoś przełknęła tę zniechęcenie.

Adam gdzieś zniknął. Agaty też nie było przez chwilę, ale szybko wróciła i się pożegnała. Musiała wracać. Coś z dziećmi wypadło. Tak bywa, trudno.

Miał być tylko obiad, ale impreza przeciągnęła się do północy. I tak wszystko co dobre kiedyś się kończy. Anka z rodzicami żegnała gości. A „mamusia”? „Mamusia” zaczęła sprzątać stoły.

– No bo jak to tak? Przecież to wszystko nasze, zapłacone!

Zaopatrzona w woreczki foliowe i papierowe tacki zbierała wszystko ze stołów. Do woreczków trafiała wędlina, nowalijki, pieczywo. Na sałatki i inne przystawki zażyczyła sobie pojemniki.

Obsługa nie dała po sobie poznać zażenowania – Anka tak. Było jej strasznie wstyd. Ze stołu zniknęły nawet chlebki, które służyły za stojaki dla płonących szaszłyków. Goście patrzyli na to przedstawienie ze zdziwieniem. Nikt jednak ani słowem nie skomentował tego zachowania.

W poniedziałek przyszedł czas na rozliczenie i opłacenie kosztów przyjęcia. Pani kierowniczka zgodziła się, że rodzice młodych zapłacą za tyle porcji, ile wyszło z kuchni. Rano „mamusia” przyszła do swatów z informacją, że nie może uczestniczyć w rozliczeniu, bo siostra musi jechać z synkiem do lekarza, a ona jest im niezbędna. Ten jej szwagier to taki niedorajda, że nic nie potrafił załatwić. Ona to co innego. Cała rodzina na nią liczyła. No, po prostu siła wyższa.

W lokalu rodzice Anki zapłacili za wszystko. Za pojemniki jednorazowe też. Przepraszali za zamieszanie. Pani kierowniczka zażartowała, że w sumie to mieli mniej sprzątanía. Też prawda...

Wieczorem „mamusia” miała przyjść na herbatę i oddać swoją część weselnych wydatków. Tego dnia, niestety, nie mogła. Nie mogła przez kolejny miesiąc. A to lekarz, a to robotnicy, bo w końcu ruszyła budowa.

Młodzi mieli dostać całe piętro w domu na wsi. Tylko że „mamusia” postanowiła, że odda im ostatnie piętro. Dwa niższe były już wykończone, wystarczyłby drobny remont. Ostatnie było w stanie surowym. Bez elektryki, bez tynków, nic – gołe ściany. No, niech tam. Wykończy się pomału.

Rodzice Anki zgodzili się, żeby młodzi mieszkali u nich, bez opłat. Zaproponowali, że będą ich utrzymywać, żeby Adam mógł przeznaczyć pensję na szybkie wykończenie domu. Dziewczyna nie bardzo chciała mieszać rodziców do własnych finansów, ale trzeba było przyznać im rację. Wszystko kosztowało, a czas uciekał.

Chora

– Adam, a może byśmy wyjechali? Taki mały miesiąc miodowy. Wiem, że mamy inne wydatki, ale nie myślę o niczym wielkim. Tylko na weekend. Moglibyśmy pojechać nad morze... – poprosiła Ania kilka dni po ślubie.

– Ale po co?

– Pobylibyśmy tylko we dwoje. Bez ciągłych telefonów twojej mamy i bez moich rodziców za ścianą. Tylko weekend, proszę.

– W sumie nigdy nie byłem nad morzem. Pomyślimy, zobaczymy – powiedział i wyszedł z domu.

Następnego dnia Ania poszła na budowę rozeznaczyć się w sytuacji i spisać, co najbardziej będzie potrzebne do kupienia „na już”. Jakież było jej zdziwienie, kiedy teściowa zaczęła ją o wyjazd.

– Słyszałam, że zaczynasz wymyślać. Po co ci jakieś wyjazdy? Tu możesz odpoczywać – Lucjana zaczęła temat.

– Ale, mamo, nie chodzi o wypoczywanie. Ludzie potrzebują czasem побыć sami. I zmienić klimat, otoczenie.

– To dobre dla nieudaczników.

– To dobre dla każdego. Taki odpoczynek ładuje akumulatory.

– Adaś nie może wyjechać tak daleko. Tu ma co robić.

– Zdąży. To krótki wypad. Nic się nie stanie.

– Nie zgadzam się!

– Mamo... – wtrącił się Adam. – Ja nigdy nie byłem nad morzem.

– To kiedyś pojedziemy razem. Zresztą, co to za pomysły?

– Ale ja bym jednak chciał...

– Skończyliśmy tę rozmowę!

Lucjana odeszła od młodych.

– Porozmawiam z nią jeszcze – obiecał Adam.

Ania pomyślała tylko: „Akurat...” – ale nie kontynuowała rozmowy. Ukradkiem obserwowała teściową. Wiedziała, że „mamusia” leczy się na nadciśnienie. Wiele razy Adam musiał ją wozić do szpitala, bo nagle źle się poczuła. Dziewczynie wydało się to bardzo podejrzane. W tamtej chwili miała okazję dokładniej przyjrzeć się tej kobiecie.

Przez całe popołudnie krzątała się w pobliżu teściowej. Miała dziwne przeczucie. Wiedziała, że Lucjana nie pozwoli im na samodzielny wyjazd. W końcu syneczek byłby poza kontrolą. Adam jednak miał ochotę na ten wyjazd. Lucjanie bardzo się to nie podobało.

Anka wiedziała, że „mamusia” powinna przyjąć leki na nadciśnienie około godziny siedemnastej. Często robiła to w sposób bardzo ostentacyjny, podkreślając, jak bardzo jest chora. Tego dnia nie wzięła swoich tabletek. Była już dwudziesta. Zgodnie z przeczuciami dziewczyny, Lucjana nagle zaczęła się wachlować ręką.

– Adam! Pakuj się! Musisz mnie zawieźć do szpitala! Źle się czuję. Na pewno skoczyło mi ciśnienie! To przez was i wasz głupi pomysł z tym wyjazdem!

– A wzięła mama leki? – zapytała Ania.

– Nie wtrącaj się!

– Mamo, to niebezpieczne! Leki trzeba przyjmować regularnie. Tylko wtedy będą działać jak należy i nie będzie skoków ciśnienia.

– Powiedziałam, żebyś się nie wtrącała!

– Mamo, kiedyś zrobisz sobie tym krzywdę.

– Adam! Pospiesz się! Serce mnie boli! Muszę natychmiast do szpitala!

– Już jedziemy! Anka, wrócisz sama. Ja muszę mamusię zawieźć. Zdenerwowałaś ją tą rozmową o miesiącu miodowym. Mówiłem ci, że to beznadziejny pomysł. Widzisz, co zrobiłaś?

– Widzę. Widzę, że ona tobą manipuluje w ten sposób. Zresztą, wami wszystkimi. Szkoda, że ty tego nie widzisz.

– Odwal się.

– Adam, to się nazywa zespół Münchhausena. Mówię ci, że to się leczy, ale u psychiatry.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Odpierdol się od mojej mamusi. Już dość złego zrobiłaś dzisiaj.

– Niech idzie do domu i się nie wtrąca! – rozkazała Lucjana, nieoczekiwanie zwracając się do Ani.

Dziewczyna nie miała pewności, czy „mamusia” słyszała jej rozmowę z mężem, ale ton głosu teściowej sugerował, że tak. I ta bezosobowa forma wypowiedzi... To chyba nie był przypadek.

Budowa

Anka podliczyła swoje oszczędności. Było tego około dwudziestu tysięcy – trochę mało. Należało kupić materiały do centralnego ogrzewania: piec, kaloryfery, całą instalację. No dobra, weźmie się na raty. Ale reszta?

Kupiła już wykładzinę do kuchni i pustaki, bo ściany przydałoby się przestawić. Takie wielkie okna trudno przecież potem ogrzać. To przecież szklane ściany. A na górze to trochę bez sensu. Wszystko do tynków trzeba było kupić. I przecież konieczne wannę, kibelek, jakąś umywalkę, kuchnię. Lodówkę dostali w prezencie. Chociaż tyle.

Kable w domu Ania kładła sama. Na początku miał im pomagać Kamil – brat Ani, elektryk. Ale kiedy kazali mu to robić, materiały, które zakupili, nie spełniały żadnych norm, więc mężczyzna nie chciał brać odpowiedzialności za ewentualny pożar czy inne późniejsze usterki i odmówił pomocy.

Adam był wiecznie zajęty. Ciągłe coś „mamusia” pomagał, gdzieś ją woził. Tynkarze byli umówieni, ale najpierw trzeba było położyć elektrykę. Adam był wyrozumiały. Pokazał już Ance, jak kołeczki przygotować, jak wbijać i w jakiej odległości i jak kabelki do nich mocować – prościzna. Ance trochę brzuch przeszkadzał, bo do gniazdek to kable nisko trzeba było kłaść, ale „mamusia” poradziła, że jak będzie robić na kolanach, to brzuch jej tak bardzo nie będzie przeszkadzać.

– To nic, w końcu u siebie robię, a ciąża to nie choroba – mówiła Anka, gdy ktoś jej zwracał uwagę, że może nie powinna tak pracować.

Elektryka w końcu została położona. Odbiór nie był konieczny. Przezorny teść wiele lat temu dał w łapę takiemu jednemu, żeby

podpisał odbiór instalacji w całości domu, a nie tylko na dwóch pierwszych kondygnacjach. Podpisał. Teraz nie było już problemu.

– Tynkarze (oczywiście sąsiedzi ze wschodu) może wezmą stary samochód w rozliczeniu. Będzie taniej.

– Ale Adam, podpisałeś z nimi jakąś umowę? A jak nie zechcą jednak tego samochodu?

– A po co umowa? Oni tu nielegalnie pracują. Wezmą, co im dam.

– Ale tak nie można. Ciężko pracują i robotę dobrze robią.

– No i co z tego?

– A jak się wkurzą i nam chałupę spalą? Albo coś?

– To się ich zgłosi i z kraju polecą. Są na takich sposoby.

Anka więcej do tego tematu nie wracała. Umówiła się z nimi, że będą dostawać obiady, a resztę posiłków załatwią we własnym zakresie. Na początku posiłki szykowała Magda – mama Ani. „Mamusia” czasem też coś przygotowała, ale tylko wtedy, jak Anka z nimi pracowała. Było co robić. Dla każdego by wystarczyło. Przecież gruz mogła łopatą do taczki nakładać i wywozić. Cięża w tym nie przeszkadzała.

– Jak ciężko, to niech mniej na łopatę nakłada. Najwyżej więcej razy szpadlem machnie. U siebie robi. Niech robi – mawiała „mamusia”.

Ani było przykro, że teściowa zwraca się do niej bezosobowo. Raz nawet zwróciła jej uwagę, ale usłyszała tylko:

– Patrzcie sobie, jakie to niby delikatne. Myślałby kto!

W końcu dla teściowej była „tym czymś”, więc nie było tematu.

Mamie Anki „mamusia” gotować w końcu zabroniła.

– Ty to lepiej obiadów nie rób więcej – powiedziała któregoś dnia. – Bo jak ty gotujesz, to oni potem nie chcą jeść tego, co ja im przygotowuję. Wybrzydają, paniska jedno. Niech się cieszą, że w ogóle coś dostają.

– Nie dziw się, to chłopy. Orobią się, to i zjeść potrzebują.

– To przecież niech jedzą. Ale nie muszą jeść jak królowie.

Ance zrobiło się przykro. Pracowali naprawdę uczciwie. Często pomagali jej nawet z tym gruzem; chociaż nie musieli. Dobre z nich chłopcy. U nich o robotę trudno. Bieda straszna, a dzieciaki mieli. Chcieli trochę grosza do domu zawieźć.

Popołudniami do pracy przyjeżdżał Stefan. Stał przy betoniarce i pomagał przy innych robotach. Kiedyś wyszedł przed dom i zaczepił swata o jakieś inne prace, jakie robili w międzyczasie. Lucjanie nie podobał się tok tej rozmowy. Wyraźnie coś chciała ukryć. Była zmieszana i niezadowolona. W końcu poszła do kojca z psami i wypuściła je. Zdezorientowane zwierzęta puściły się biegiem na podwórze i jeden z nich rzucił się na Stefana. Wbił mu zęby w rękę. Na szczęście luźna koszula zamortyzowała ugryzienie.

– Co mama robi? Poszczuła mama psem mojego tatę? Przecież wiecie, że te zwierzaki są dzikie i nie lubią obcych! – Ania opatrywała zranienie swojemu ojcu.

– Przecież nic się nie stało – tłumaczyła się Lucjana.

– Pogryzł go, to niby nic?

– Nie pogryzł, tylko skaleczył zębem. Nie przesadzajmy.

– Proszę ich więcej nie wypuszczać, kiedy tu jesteśmy. I trzeba będzie pomyśleć, co z nimi zrobić, jak dziecko przyjdzie na świat. Te psy są agresywne. Będą dla dziecka niebezpieczne.

– To się okaże, co będzie konieczne – zakończyła dyskusję Lucjana.

Po trzech tygodniach robota była zrobiona. Kondygnacja i cała klatka schodowa były otynkowane. Ściany też przestawione. Adam, oczywiście, oszukał robotników i jeszcze nastraszył urzędem imigracyjnym. Chłopaki nie mieli pozwolenia na pracę. Tyle ciężkiej roboty i „dupa” z tego. Żal ich było, ale kiedy Ania stanęła w ich obronie, „mamusia” kazała jej się zamknąć i nie wtrącać w nie swoje sprawy. W końcu dom należał do „mamusy” i to ona decydowała o wszystkim.

Pod koniec wakacji oszczędności Anki się skończyły. I tak wiele materiałów kupili rodzice Ani. Lucjana do niczego nie chciała

dokładać i jeszcze za pomoc kazała sobie płacić. Za ostatnie pieniądze Ania kupiła wapno, bo świeży tynk trzeba było zabialkować, żeby dobrze związał. Adam obiecał się tym zająć. Ale jeszcze barierki trzeba by na klatce i na balkonie zrobić i zamontować. Tylko pieniędzy już brakowało.

– Wiesz, Stefan, a może byście tak z Magdą kredyt wzięli? Ance to nikt nie da, bo nie pracuje, ale wy oboje robicie, to wam dadzą – Lucjana bez skrępowania zaproponowała rodzicom Anki.

– Chwileczkę, jaki kredyt? Mało to Anka kasy wpakowała w to mieszkanie?

– A co? Chce mieszkać, to niech płaci. Ja dałam mieszkanie, wy macie je wykończyć.

– Na razie to nic jeszcze nie dałaś – obruszyła się Magda. – Przepisz mieszkanie na dzieci, to porozmawiamy o kredycie. Sama mówisz, że dom jest twój.

– Niczego nie przepiszę.

– To nie będzie więcej pieniędzy.

– A co, nie wierzysz mi?

– Szczerze? Nie! Już raz nas oszukałaś.

– Kiedy niby?

– Po weselu. Minęły cztery miesiące, a pieniędzy nie oddałaś, ani grosza. Nie taka była umowa.

– No wiecie?! No, tak naprawdę to ja byłam przeciwna temu małżeństwu. Ja się nie czuję w obowiązku zwracać wam czegokolwiek. Zresztą, przecież upiekłam im tort. A, i jeszcze dwa ciasta. To chyba wystarczy?

– Lucjana, ale przecież nikt nie kazał ci zapraszać gości. Chciałaś, to zaprosiłaś – prawie wybuchła mama Anki. – Ty zajęłaś się ciastem, my alkoholem. Resztę rachunku należało jednak uregulować! Albo nie zapraszać gości!

– A co myśleliście? No, jakby to wyglądało? Ciasto dałam? Dałam. Wystarczy. Jesteśmy kwita.

– A niech ci będzie... – Ojciec Anki uciął sprzeczkę w zarodku.

– A garnitur? Anka zapłaciła za niego, bo Adam nie miał przy sobie gotówki! – Magda była coraz bardziej zbulwersowana.

– Jak chciała mieć męża, to niech o niego dba. To rola żony, co nie?

– A mąż o żonę nie musi dbać?

– No przecież się z nią ożenił! Nazwisko dał. Ona mu dzieciaka zrobiła! Adam to Biblię czytał, on by decyzji o współżyciu przed ślubem nie podjął.

Anka nie wytrzymała. Wybuchła śmiechem. Gdyby „mamusia” wiedziała...

Już czas

Anka nie dała rady więcej pojechać na niedokończoną budowę. Spuchła tak, że nie mogła włożyć żadnych butów. W sumie na dwa tygodnie przed porodem takie obrzęki nie są niczym nadzwyczajnym, tylko że dziewczyna miała nadzieję dokończyć pracę. Zostało jeszcze trochę gruzu do wywiezienia, może ze dwie taczki. No i białkowanie. Nie dała już rady. Po ostatnim razie, kiedy tam pracowała, ledwo wróciła do domu. Adam miał tylko pięć miejsc w aucie: on, „mamusia”, siostra i brat. Anka miała za duży brzuch i w samochodzie byłoby im za ciasno, gdyby miała z nimi jechać. Zresztą, „mamusia” powiedziała, że szybciej urodzi, jak będzie chodzić, a dwa kilometry to przecież niedaleko. Ojciec Adama też nigdy nie był wpuszczany do auta. Zupełnie jakby był wykluczony z rodziny. Jeździł motorynką albo rowerem. Podobno sam tak chciał, ale dziewczynie wydawało się to podejrzanе. Kryło się za tym coś więcej.

Dziewczyna wróciła pieszo, ale strasznie spuchły jej nogi. Wiedziała, że następnym razem nie da już rady. „Trudno” – pomyślała.

Adam zaczął późno wracać do domu z budowy. Przecież kiedy Anka nie pomagała, to on musiał wszystko sam robić. Zwykle wracał do domu około drugiej nad ranem. Tłumaczył, że białkował ściany, trochę sprzątał... Żeby na wiosnę się wprowadzić.

*

– Pani Aniu, aby dotknąć. Jest rozwarcie – trzy palce. A szyjka cieniutka jak płatek róży. Jak pani chce, to dzwonię na porodówkę. Da się oxytocynę i jeszcze dziś pani urodzi – lekarka naświetliła obraz przy badaniu.

– Pani doktor, ja wolałabym, żeby to tak samo poszło. To pierwsze dzieciątko, może nie jest gotowe? Jeszcze jest przecież czas.

– Dobrze, ale proszę nie zwlekać. Jak tylko coś się zacznie dziać, to trzeba szybko do szpitala. Bo szyjka już jest gotowa. Potem może być ciężko zdążyć.

– Dobrze. Oczywiście. Bardzo dziękujemy. – Anka uśmiechnęła się i pożegnała.

Kilka dni później dziewczynę obudziło dziwne uczucie. Minęła północ. Adam wrócił niedawno, tego dnia wcześniej niż zazwyczaj, i już smacznie spał. Pobiegła do toalety. Raz, drugi... „Kurcze, chyba znowu coś zjadłam?” – pomyślała. Po trzecim razie zerknęła na zegarek. Wstawała regularnie, co siedem minut, brzuch też twardniał – stawiał się. Zmierzyła czas. Skurcze były regularne. Po godzinie pierwszej nieco zakrwawiła, a brzuch twardniał już co pięć minut. Wahała się jeszcze chwilę, ale w końcu uznała, że nie może dłużej czekać.

– Adam, Adam, chyba już czas... – obudziła męża.

– A która godzina? – mężczyzna wstał i spojrzał na zegarek.

– Dochodzi druga.

– Ale coś się dzieje?

– Trochę, mam skurcze i czop odszedł. Chyba się zaczyna.

– Sama mówiłaś, że za pierwszym razem to długo trwa. Jak dopiero się zaczęło, to nie ma co jechać. Zaczekaj do rana – odwrócił się na bok. – Jestem zmęczony. Muszę się przespać.

Anka chciała protestować, ale nic to nie dało. No i rzeczywiście nie czuła bólu, ucisk i tyle. Położyła się, ale już nie zasnęła.

Przed szóstą wstała powiedzieć mamie, że jadą na porodówkę jak tylko Adam wstanie. Spakowała torbę i chciała usiąść na łóżku, kiedy usłyszała dziwne „trach!” i nagle siedziała w wielkiej kałuży. Odeszły jej wody.

Adam szybko się obudził, kiedy został podtopiony.

– Teraz musimy już jechać. Już jest rano.

– Dobra, szykuj się.

Anka dopiero teraz poczuła, co to są skurcze porodowe. Czuła, jakby jej ktoś siekierą rąbał krzyż. „A niech to! Ale nic, nie ja pierwsza, nie ostatnia” – pomyślała.

Starła się oddychać i liczyć. Dało się przeżyć. Na drogę dziewczyna musiała założyć buty swojej mamy. Nogi spuchły do monstrualnych rozmiarów. Była prawie połowa listopada, zimno, a jedyne co mogła włożyć na nogi to stare kapcie. W nocy spadł pierwszy śnieg. Nie mogła iść w ciapach. Dobrze, że mama miała zapasowe buty i większą nogę.

Jechali do szpitala. Bóle nasilały się. Były też częstsze. Co trzy minuty. Zajechali na szczyt wzgórza, gdzie mieścił się szpital. Niestety, portier nie wpuścił ich na plac szpitalny. Jak na złość nie było też miejsca do zaparkowania.

– Adam, wysadź mnie. Pójdę na izbę przyjęć załatwiać formalności, a ty zaparkujesz i przyjdiesz.

– A gdzie ja cię będę później szukał? Siedź. Nic ci nie będzie.

Jeździł chwilę po okolicy. W końcu zaparkował. Na samym dole górki.

– To tylko pół kilometra – dodał.

Anka wysiadła. Spojrzała w górę. „To dopiero będzie wyzwanie!” – Właśnie złapał ją skurcz. Oparła się o samochód i zaczęła dyszeć jak lokomotywa. Po minucie przeszło. Rzuciła się prawie biegiem, żeby przejść jak najdłuższy odcinek przed następnym skurczem. Ten nadszedł po dwóch minutach. Dopadła do ściany najbliższego budynku. Przytrzymała się jej, skupiając się na oddechu. Tak pokonała całą drogę. Najdłuższe pół kilometra, jakie w życiu przeszła. W końcu dotarła na izbę przyjęć. Była mokra, zmęczona i obolała. Położna wyjrzała przez małe okienko.

– Co pani jest? – zapytała.

Ance to pytanie wydało się wyjątkowo głupie, zwłaszcza że właśnie poczuła najmocniejszy, jak dotąd, skurcz.

– Noga mnie boli! – powiedziała niegrzecznie.

– Słucham?

– Rodzę!

– Wody odeszły?

Anka spojrzała na mokre do kolan spodnie.

– Aha... – położna pokiwała głową ze zrozumieniem. – A kiedy?

– O szóstej dziesięć.

– Czyli godzinę temu, dobrze. Co ile są skurcze i ile trwają?

– Co dwie minuty. Trwają jakieś półtorej minuty – jak na komendę zgjęło ją w pół.

– Proszę się położyć na fotelu. Zaraz przyjdzie doktor i panią zbada.

Dziewczyna pamiętała z praktyk jednego lekarza. Nazywał się Zwoliński. Modliła się, żeby tylko nie było go na dyżurze. Miał wielkie ręce. Badanie byłoby bardzo bolesne. Tylko zdążyła to pomyśleć, gdy w drzwiach stanął doktor Zwoliński.

– I co my tu mamy?

– Pierwiastka. Dwa dni po terminie. Żywa akcja. Wody godzinę temu, tętno słyszalne – położna zakomenderowała bez zająknięcia.

Lekarz zbadał Ankę i natychmiast polecił przyprowadzić wózek.

– Jest całkowite! Głowa się wstawia. Jedziemy wózeczkem, bo nam w windzie urodzi – zwrócił się do położnej, a do Anki dodał:

– Nieźle przetrzymałaś, dziecko.

„Ano nieźle; do rana”.

Spis treści

Manifest ofiary	3
Wstęp	7
Część pierwsza	9
<i>Cztery ściany</i>	
Jest!	11
Wielkie sprzątanie	16
Wesele	19
Chora	22
Budowa	25
Już czas	30
Witaj na świecie.	34
Nowe imię	39
Świąteczny obiad	49
Kolega	53
Zaproszenie na chrzciny	57
Wakacje na wsi	60
Powrót do szkoły	65
Dwie kreski	66
Okazja	71
Szantaż	75
Obraza majestatu	80
Alimenty.	85
Machloje.	88
Rozwód	91
Wakacje u taty	96

Siostra	100
Świadek	105
Konfrontacja	109
Kochająca babcia	117
Awantura	120
Sprawa	125
Ach, te sądy!.	131
Kochaś	135
Niekończąca się opowieść	139
Rodzeństwo	142
Sąd	144

Część druga. 151

Za ścianą

Nowi lokatorzy	153
Kłopoty w szkole	156
Wywiad środowiskowy.	158
Inne cztery ściany	161
Epilog	171
Podziękowania	173

Koniec wersji demonstracyjnej